XX Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2022
Anna Błachucka – kategoria dorośli – proza – wyróżnienie

Godło: Majdanowa

Perfoniarz

– Drobny był, niski. W ruchach, figurze i wyglądzie istno dziuska. A jak już na Wielkanoc dorwał się do flaszeczki z pachnidłem matki, to wylał całą jej zawartość na siebie. Jechało od niego na kilometr. Żeby chłopak i takie rzeczy? Perfoniarz odtąd mówili na niego. Jeszcze inni mówili Pachniołek i kręcili przy tym wymowne kółka na czole. Marnocina. Jasnej cery, niebieskich oczu, marnego zarostu. Gdyby nie ten dzyndzelek… Gwizdali za nim, plugawe słowa rzucali, a i ruchy nieprzyzwoite czynili. Odbijali sobie na nim swoje koślawe myśli, bo któż ich nie ma. Każdy obok normalnych myśli ma też w głowie te inne. I to aż się roi nieraz od tych nieakuratnych. Nie da się człowieka tak przepołowić, żeby dobre było u góry, a złe na dole. Bo nogi są na dole i jakże bez nich żyć. W głowie się lęgną dobre myśli i złe, nogi doprowadzają do dobrego i złego. Ale każdy młody za moich lat ustawiał się według ojca, według natury, według wiary… A jak się jeden taki trafił, to nauka była, przestroga była, że tak nie powinno być. Trzeba widzieć i wiedzieć, co nie jest normalne, żeby szanować i doceniać ład boski. On jeden nie podał się do ojca. Jacuś… Już jako dziecko inny był. Mieszkałam naprzeciwko nich, to wiem, co mówię. Ani on do jedzenia, ani do spania, ani do zabawy. Ciągle mu było źle. Darł się nieraz wniebogłosy, a matka nie mogła mu wygodzić ani niczym udobruchać. Po parę minut spał. Budził się z wrzaskiem i domagał się ciągłej opieki. Brodawki matce tak pogryzł, że musiała go odstawić od piersi. Do mnie po mleko przychodziła, bo ich krowa akurat jałowiła[1], a druga krowa miała zasuszone wymię, bo przed ocieleniem była. Nasłuchałam się nieraz o Jacusiu. Ani go szło zabawić, ani czym zająć. Wszystko źle. W jednej minucie miał tysiąc pomysłów, a wszystkie przeciw swojemu wiekowi i swojemu naznaczeniu przez przyrodzenie. Bawił się siusiakiem, tarmosił aż do krwi swojego miętusika. Ręce mu Róża wiązała na czas snu, ale tak się szamotał, że aż chusteczkę rozwiązywał.

– Dlaczego chusteczkę? – dopytuje Treska.

– No, czym go było skrępować? Sznurkiem, drutem? Chusteczka miękka, więc się w małe ciałko nie wrzynała.

– Skądże pewność, że to chłopiec był? Badania miał jakieś…

– Jakie badania? O czym ty mówisz, Teresa? Jakbyś nie stąd była! Po urodzeniu wiadomo było, kto jest kto. Mogę poświadczyć sama, że chłopak z niego był. Dawniej małe dzieci bez majtek chodziły. Imię miał męskie ze chrztu i chłopak po wierzchu był, no, merdak i resztę miał na oko jak trza. A w środku jego głowy co? Bóg tylko raczy wiedzieć, kim on był w środku. Był jak pomyłka stwórcy albo jakie jego niedopatrzenie. Pośmiechowiskiem ludzkim był i wstydem dla rodziców. Chorował, ale tak dziwnie. Niby nic go nie bolało, a wstać z łóżka nie mógł, ubrać się nie miał siły, czy też chęci nie miał. Ani go za gęsiami wysłać, ani potem gdy podrósł, za krowami. Róża chroniła go jak mogła przed kolegami, ale i przed ojcem. Walek nijak nie mógł wyrozumieć jego usposobienia i nieprzydatności do życia.

W kącie sieni nazbierał zasuszonych kwiatuszków, jakichś szmatek, kukiełek z siana… Szukał zapałek. Zapałki zawsze się przed dziećmi chowało, bo często zostawały

[1] nie zacieliła się

same w domu. Róża dopytywała go o te zapałki, a on powiedział, że chce coś podpalić. Kiedy pokazał miejsce, gdzie ten ogieniek chce rozpalić, ojciec bez słowa wyciągnął pas ze spodni i lał go po dupinie. Tak wybijał z głowy głupoty pozostałej piątce swoich dzieci i one rozumiały powód tej kary i po godzinie już razem pracowali, albo nawet wygłupiali się. Nie raz słyszałam darcie chłopaków, gdy im ojciec wszelkie durnoty z głowy pasem poprzez tyłek wybijał. Za godzinę już razem baraszkowali. Basałyki jedne… Sama radość było patrzeć na tych rozbrykanych chłoposków. Co Róża ugotowała, to wcinali[2], aż im się uszy trzęsły, a ten najmłodszy ino glimoł[3].

Jacuś… Po tym laniu pasem zrywał się w nocy, wrzeszczał, chciał gdzieś uciekać. Na widok ojca bladł, a potem trząsł się jak galareta. Jak mu nie dali jeść, to nie jadł, jak go nie przymusili do mycia, to się sam nie domyślił. Raz się zatrzasnął w pokoju. Drzwi zaparł łożkiem. W nerwach to takich sił dostawał, że i wielki ciężar był władny podnieść. Matka mu jedzenie przez okno podawała. O co poszło, nie wiem, ale matka ulgnęła, bo się bała, że śmiercią głodową zejdzie z tego świata. Do nauki jedynie miał głowę. Uczył się w szkole bardzo dobrze, ale potem się pogorszyło, bo dzieci mu dokuczały i nie chciał chodzić do szkoły. Przezywały go: cycuś, majtuś, cieplaj, laluś, jaciejka… A dzieci mają pomysły, wymyślały na niego takie słowa, że i dziś w książkach nowoczesnych nie znajdziesz takich. Sodomia.

– Boże drogi. To dziecko było chore! A nauczyciele?

– Chore, chore… A jak taką chorobę nazwać, czym leczyć? Nauczyciel do czego innego szkolony. Felczer był jeden na okolice i pomagał, owszem, ale przy prawdziwych chorobach: bolenie w sobie, rana jaka, wrzód… Chłopu urodzić się powinien chłoposek, chłopskie dziecko, a nie chłopczyk z pańskimi fanaberiami. Dawniej we dworze takie się zdarzały, takie pazioluby były, ale dwory miały pieniądze, swoich dochtorów, to sobie radziły. Przecież dziedzice się już skończyły. Ojciec odsunął się od układania Jacusia do życia. Nie umiał wpoić mu natury chłopskiej. Nie mógł go nagiąć do naszego żywota związanego z ziemią i gadziną. Taki chłoposek jest jak kruszyna, prędzej się złamie niż nagnie.

No i złamała go śmierć, jako tę gałązkę kruszyny. A może to i dobrze… Chociaż ból dla matki wielki, oj bardzo wielki. Matka go rozumiała, ale od śmierci nie uchroniła. Siedział na grobli. Tyle dzieci siedzi na grobli i kąpie się w nieznanym stawie, i topi się, ale nie utopi, a ten wpadł jak kamień w wodę. Siedział sobie jak to on, samotnie, wszyscy widzieli, że siedział, a nikt nie zauważył, kiedy wpadł. Diabłu do skuszenia wystarczy taka chwila, że ludzkie oko nie wychwyci. A może nie chciało wychwycić, bo nad stawem to same podrostki się kapią. Nie ma u nich wyrozumienia ani litości. Co tu dużo gadać, inny był, mówię ci, Tereska, inny był. A innemu źle na tym świecie.

[2] Jedli.

[3] Przebierał w misce łyżką, a jak coś wziął do ust, to jadł długo, bez smaku.